

...SIERŻANT 2009



ZAPISKI Z KRONIKI WZRUSZEŃ

„Jest to zespół o znakomitej kulturze muzycznej. Wielki podziw wzbudza fakt, że po ciężkich latach wojny i po trudnościach pierwszych lat powojennych chór ten posiada taką formę. Chciałbym powiedzieć, że świetny poziom chóru jest w decydującej mierze zasługą jego kierownika. Uważam, że poznański chór filharmoniczny należy do najpiękniejszych chórów chóralnych na świecie”.

Nie były chyba wyłącznie grzecznościową wypowiedzią te słowa wybitnego muzykologa niemieckiego, prof. Hugo Hartunga, który w czasie pobytu w Poznaniu w listopadzie 1950 r. w charakterze obserwatora Konkursu Bachowskiego przysłużył się występom Chóru Chłopięcego i Męskiego przy Filharmonii Poznańskiej. Rys. J. Skoradzki



Powiedzieć, że chór Stulgrosza jest dumą Poznania, to dziś już nieomal truizm. Myśli i uczucia, jakich doznajemy w dziesięciolecie tego zasłużonego zespołu, są wyższe niż patriotyzm wielkopolskiego podwórka. Cieszymy się, że to, co Chór do tychczas zdziwiał, gdy chodzi o ukazanie klejnotów dawnej muzyki polskiej — stanowi cenną kartę w dziejach naszej kultury. Nie zapominamy również o jego zasługach jako ambasadora Polski poza jej granicami. Niebojnie też jest dla nas, że Chór, to artystyczny kolektyw uzdolnionych śpiewaków, zespół, w którym dojrzewanie ambicji twórczych idzie w parze z wychowaniem i krzepnięciem wrażliwych na piękno charakterów.

Spróbujmy uzmysłowić sobie niektóre wycinki tej wielostronnej działalności.

Zorganizowany i kierowany przez mgr. Stefana Stulgrosza, Chór wyrósł z tradycji słynnego przedwojennego chóru ks. Gieburowskiego. One to zadecydowały też o linii repertuarowej zespołu. Odkrycie i pokazanie nowemu słuchaczowi skarbnicy naszej dawnej literatury muzycznej — stało się zadaniem zarówno ambitnym jak i pożytecznym. Odświeżając bowiem nieznane karty przeszłości muzycznej narodu, jasniej widzimy ciągłość naszej tradycji kulturalnej, z której wszystko, co służyło umiłowaniu człowieka, warte jest przypomnienia. Dlatego też uroczej muzyki Mikołaja z Krakowa, Wacława z Szamotuł, Mikołaja Gomółki, Marcina Leopolda czy Mikołaja Zielińskiego słuchamy dziś ze wzruszeniem pełni podziwu

dla kompozytorskiego kunsztu jej twórców.

Po jednym z koncertów I Festiwalu Muzyki Polskiej w Warszawie — minister Sokorski w obecności muzyków, kompozytorów i muzykologów z całego kraju złożył zespołowi i jego kierownikowi serdeczne podziękowanie „w imieniu narodu polskiego, który Chórowi zawdzięcza możliwość usłyszenia najwspanialszych i zapomnianych utworów dawnych mistrzów polskich”. Przedstawiciel najwyższych czynników kulturalnych wyraził wówczas pogląd, że Chór powinno się szczególnie troszczyć i zabytki naszej przegubatej, o wielkich tradycjach narodowej kultury muzycznej, nie zaniedbując równocześnie obcych mistrzów polifonii okresu Odrodzenia. To zaszczytne, lecz odpowiedzialne zadanie realizuje Chór z pełnym zapałem i najlepszą wolą. Z wielu licznych przykładów tej pracy wspomnijmy tak cenne pozycje jak koncerty w „Dniach Bacha”, cykl „Historia muzyki chóralnej”, koncerty z okazji rocznicy kopernikowskiej, cykl audycji radiowych „Muzyka Odrodzenia polskiego”, koncerty z okazji „Dni Poznania”, utrwalenie na płytach najcenniejszych zabytków muzycznych epoki Odrodzenia czy wreszcie współpraca artystyczna ze Studiem Dawnej Muzyki, Pieśni i Tańca.

Wyciągając z wspomnienia stare madrygaly, śpiewy historyczne, świeckie i religijne — poprzez liczne koncerty zagranicą, audycje radiowe oraz płyty nagrania — Chór udowodnił, że w naszej kulturze narodowej twórczość muzyczna znajduje swój własny, jakże oryginalny wyraz, już w XVI i XVII wieku.

I tu dotykamy drugiego Chóru — zasług poznającego Chóru, jaką jest propaganda polskiej kultury wśród innych narodów. „Zrobiliście więcej niż stu najlepszych ambasadorów” — powiedział Chór w ambasadzie Izidorczyk po koncertach w NRD, które przerodziły się w żywe manifestacje przyjaźni niemiecko - polskiej. W salach koncertowych Berlina, Rastenburgu, Schwerin, Neustrelitz, Zittau i Goerlitz realizowało się z serdeczną żywiołowością hasło zbliżenia, wzajemnego zrozumienia i przyjaźni dwu kochających sztukę narodów.



Rys. J. Skoradzki

napisał
Julian Mikołajczak

Znakomity dyrygent niemiecki Hermann Abendroth, który z okazji pobytu w Polsce służył Chórowi w Poznaniu, był nim oczarowany. „Jestem głęboko wzruszony i uszczęśliwiony godziną najpiękniejszego śpiewu chóralnego” — wyznał później. Niemniej jednak wywołał Chór na znakomitym dyrygenckim synonim „Kreuzchoru” z Dreźnie — Rudolphe Mauersbergera. Pamiętne spotkanie chłopców obu zespołów (Poznań 1954) było nie tylko konfrontacją pracy chórow od strony fachowo-artystycznej, ale i żywym aktem zbliżenia muzycznej młodzieży.

Zaden wielki artysta, przybywający do Polski, nie omiada okazji, by usłyszeć poznaj-



St. Stulgrosz w karykaturze NOT'a

ski Chór. W napęczniałej od zapisków Księdze Pamiętkowej przeczytacie ujmuje w swej szczeroci wyznania ludzi, którym polska muzyka dostarczyła niejednej godziny prawdziwego wzruszenia. Na pewno na długo pozostaną wielbicielami naszej sztuki tacy goście jak dyrygent radziecki Rachlin, skrzypek Wajman, muzykolog Martynow, dyrektor budapeszteńskiej Opery Janos Ferencsik, śpiewaczka francuska Hélène Bouvier, dyrygent brazylijski Claudio Santoro, kierownik monachijskiej orkiestry Wilhelm Stross czy wiceminister kultury i sztuki Indii — G. Czandrasekhar.

O wielkiej roli wychowawczej Chóru Chłopięcego i Męskiego wiemy niewiele. W czasie koncertu widzimy tylko, jak na twarzyczkach kilkudziesięciolastoletnich gromadki maluje się wyraz napiętego skupienia, bezwzględnej posłuszeństwa w nadążaniu za ruchem ręki dyrygenta. Osiągnięcie najwyższej dyscypliny artystycznej możliwe jest jedynie przy idealnym współgraniu psychicznym obu elementów: zespołu i dyrygenta. Nie wszystko dałoby się osiągnąć przez organizacyjny rygor. O wiele skuteczniej działa swoista atmo-

sfera, w której kierownik jest wychowawcą i przyjacielem młodych śpiewaków a chórzyści pojmują swą pracę jako szkołę charakteru i w niej realizują swe ambicje służenia pięknu.

Młodzi chłopcy wynoszą z kolektywu zamiłowanie do nauki (przynależność do Chóru uwarunkowana jest dobrymi postępami w szkole), wysoko rozwinięte poczucie przyjaźni i koleżeństwa, zasady pracy zespołowej.

„Na lekcjach — pisze jeden z chłopców — Wojtus Bedraszewski w konkursowej ankiecie Chóru — dyrygent nasz nie tylko uczy nas śpiewu. Przypomina nam o dobrym wychowaniu, o pilności w szkole i obowiązku miłości i wdzięczności wobec rodziców i wychowawców. Chór uczy mnie braterstwa i koleżeńskości. Wiem, że i ja ze względu na mutację opuszczę Chór, ale na zawsze zostanie mi umiłowanie śpiewu i muzyki”.

A oto zwierzenia innego członka Chóru, Krzysia Witaszka:

„Piszę jako jeden ze szczęśliwych chłopców tego zespołu. Przynależność do chóru daje mi tak wiele, że nie wiem, czy będę umiał ująć to wszystkim dziecięcym pojmowaniem. Zdajemy sobie sprawę z tego, że niesiemy piękne, często zapomniane już pieśni w tłumy słuchaczy, że i tam urabiamy kult do piękna. Zbierając uznanie w Warszawie, cieszymy się po koncercie widokami odbudowanej stolicy, 10-letnim dorobkiem naszej ludowej Ojczyzny. Na gromadzie chłopców umiłowanie muzyki i piękna wyciska swoje piętno. Wyrzekają się niejednej zabawy, zarzucają tożubowanie, a potrafią kilka godzin stać na próbach nie zawsze urozmaiconych, raczej trudnych, aby wreszcie zasłużyć na uznanie dyrygenta. Próby Chóru, to także



Janusz Dzieciol
solista Chóru Chłopięcego

jeden z elementów urabiania charakteru. Starsi chłopcy dobrym przykładem wpływają na młodszych lub „brykających” i potrafią z biegiem czasu upodobnić ich do siebie.”

Niewątpliwie atmosfera pełnego zaufania między kierownikiem a zespołem, w której

tarka, gdzie latarka? Jest! Snop światła przesunął się po rowie i zgasł. Cholewa z tą baterią! Zapalił znowu. Tam leży! Ciemny, nieruchomy kształt. Sierżant już jest przy nim.

— Co ci jest, gadaj bracie — mówi łagodnie, odwracając leżące meble na bok. Sprawdź, czy nie widać śladów porażenia. Za chwilę wie już wszystko. Po prostu kompletnie pijany jegomość zwał się do rowu.

— Ho, ho, aleś miał bracie szczęście — mruczy Paczkowski. Z portfela nieznajomego, w którym stara się znaleźć dokumenty mogące zdradzić adres zamieszkania — wyciąga plik banknotów. Miałbyś się z pyszną, gdyby cię tak chuligani ogolili z pieniędzy. O, jest dowód osobisty... murarz, Karkonoska 13. No tak, pewnie po wypłacie.

Paczkowski decyduje się szybko. Zauważył światła nadjeżdżającego samochodu. Staje na szosie i daje znak ręką. Wóz zatrzymuje się, wypielający z kierownicy szofera nie jest zachwycony widokiem milicjanta.

— Co jest?
— Trzeba jednego odwiedzić do domu — tłumaczy sierżant, przyświecając latarką. — Pomóżcie, sam nie dam rady.

Bez słowa, przy akompaniamencie pojeżdżających murarza, ładują go do samochodu. Paczkowski rzuca kierowcy adres. Tamten narzeka:

— To nawet nie pojedziecie ze mną?

— Na miejscu rodzina dopy-

darzył zaufaniem. Ostrożnie wysuwał swoje domysły. Kurtyna tajemnicy zaczęła się podnosić. Mieszkańcy, zwłaszcza kobiety, dość mieli niespokojnych nocy, dzikich napadów, kradzieży. Stanowcza postawa dzielnicowego, okazywana przezeń wola walki ze złem — oddziaływała.

Ktoś opowiedział, że grupa opryszków ogoliła z pieniędzy obywatela X, gdy wracał pijany do domu. Inny wspominał, że to samo spotkało jego brata Y. Trzeci dorzucił: — A gadać nikt nie gadał, bo bandziory okradanym grozili, że jeśli słówko pisną, to będzie z nimi źle.

Paczkowski wiązał ogniwa dowodów w jeden mocny łańcuch. Wyjątkowo obrzydliwa szajka. Niby szakale rzucali się na otumanione alkoholem ofiary. Zazwyczaj kradzieży dokonawali wieczorem, w pobliżu żywiej uczęszczanych dróg. Ostatnio przy drodze do Przeźmierowa...

Do Przeźmierowa? Tam właśnie natrafił wtedy podejrzana grupę. Nie rozpoznał wszystkich, ale dwu zapamiętał doskonale. Modraka i Matuszewskiego. To by się zgadzało. Ludzie w rozmowach wspominali ich; zresztą znani byli z awantur. Wtedy grali dla niepoznaki w karty, faktycznie czatując na jakąś okazję. Akurat napałtował się pijany Z i... oczyścili mu portfel z gotówki. Na pewno tak było. Następnego dnia przecież wzmożyły się plotki o grasującym szajce.

Najlepiej, jak zaraz pojedzie do Modraka. — Paczkowski zamknął zdecydowanym ruchem grubą notatnik, wpechnął go do raportówki, poprawił czapkę.

Rozmowa z podejrzanym szybko zmieniła się w przesłuchanie. Doświadczony milicjant wyluskiwał prawdę z Modrako-wego gadania — ziarnko po ziarnku. Ryszard przynależał się do udziału w napadach, wymieniał nazwiska Nowaczka i Matuszewskiego.

Dzielnicy osaczali go pytaniami. Czuli, że jest o krok od rozwiązania tajemniczego węzła.

III.

Ulica Lęborska — to właściwie polna droga, u której

może. Na mnie najwyższy czas. Słyszycie? — zamilkł na chwilę. Od strony smochowickich działek dolatywały przenikliwe, kobiece krzyki; głos jakiś męski ryczał, brzęknieła szymba; tu i tam rozbiły się światłem okna.

II.

W siedzibie komitetu Frontu Narodowego w Krzyżownikach było pusto. Wprawdzie Paczkowski odbywał tu dłuższą rozmowę z przewodniczącym, ale przed kwadransiem tamten wyszedł, spiesząc do roboty. Teraz sierżant był sam. Powoli, z namysłem przewracał kartki notatnika. Psiakrew! Miał wtedy nosa. Ile dni temu mogło to być? Chyba przed tygodniem szedł traktem z Krzyżownik do Przeźmierowa i zauważył w przydrożnej rozpadlinie paru podejrzanych meśniaków różnych w karty. Udawali niby bardzo zajęci grą, że go nie widzą. A w rzeczywistości...

Niedługo potem, gdy Paczkowski objął rejon Krzyżownik — doszły go słuchy, że grasuje na tym terenie zorganizowana szajka. Ale mimo różnych zabiegów nie mógł dowiedzieć się od ludzi na żadnym z zebranych szczegółów konkretnego. Próbował rozmawiać z aktywniejszymi obywatelami, ale i oni dziwnie jakoś kluczyli, najwyraźniej uchylając się od konkretnych stwierdzeń. Mijały tygodnie, wypełnione skrzętnym zbieraniem informacji i spostrzeżeń. Paczkowski zaczął rysować się pewne podejrzenia. Ruszył raz jeszcze na indywidualne rozmowy do ludzi, których

wschodniego krańca rozsiadł się przysadzisty, nieotylny budynek szkolny. Jego sylwetka dolatywała przenikliwe, kobiecie krzyki; głos jakiś męski ryczał, brzęknieła szymba; tu i tam rozbiły się światłem okna.

Sylwetki dzielnicowego znają również dobrze Jurek, Kazik i dwóch Mirków, grający w tej chwili w „cyganę”. Jednak nie można powiedzieć, aby byli widokiem milicjanta uciechy. Na ukrycie kart, na wszelki wypadek, jest już za późno.

— O, ho, ho! — Paczkowski zasmiał się, bliżej podchodząc. — Panowie, widzę, w karty zagrywają. Już po lekcjach, tak? Ale do domu nie laska? No, nie boicie się na mnie — obraceć w rękę sfatygowaną talię — a czyż nie tak?

— Nie nasze, jednego z V klasy.

On nam pożyczyl. My nie będziemy już grali, tylko niech pan nam odda.

— Oddam, oddam. Ale przedtem uwiadomienie kierownika, jak to pięknie spędzacie czas poza szkołą. A najlepiej, to chodźmy razem, dobrze?

Mali nie potrafili się zmusić do stwierdzenia, że sprawa

(Dokończenie na str. 2)



JÓZEF STASIŃSKI
„Ochron mnie”. Rzeźba nagrodzona na Ogólnopolskiej Wystawie Młodej Plastyki.



ANDRZEJ MATUSZEWSKI
„Portret kobiety w czerwonym fotelu”.

(Dokończenie ze str. 1)

idzie po ich myśli, ale — ruszyli za „tym wysokim milicjantem”. W chwili potem przekraczali próg szkolnego budynku i — kancelarii, która w ich umysłach kojarzyła się zawsze z czymś srogim. Cała czwórka stanęła pod ścianą. Minę, gdy obserwowali z ukosa kierownika szkoły, mieli całkiem nietęgą. A kierownik słuchał, przechadzając się po pokoju wielkimi krokami, relacji dzielnicowego. Stał potem nagle i zwrócił się w stronę chłopów:

— Słuchajcie dzieci! Przeprowadził was do mnie obywatel milicjant — jak myślicie,

dlaczego? — I nie spodziewając się widać odpowiedzi perorował dalej: — Bo wstyd przynosić naszej szkole. Mamy czekać na was w domach, lekcje trzeba odrabiać, a wy gracie w karty...

Dwóch Mirków, Jurek i Kazik polyka gorzkie pigułki prawdy. Przyszekają na koniec poprawę.

— No, to zmykajcie do domu. A po karty będą musieli przyjść do szkoły rodzice — dorzucił Paczkowski.

Malcy zbierają się do wyjścia, jakby niepewni, czy na tym cała sprawa się skończy. Ale widząc uśmiechniętą twarz sierżanta, kłaniają się niechętnie, sunąc ku drzwiom. Zapada krótka chwila milczenia, a potem kierownik szkoły mówi:

— Sierżancie, mam taką sprawę. W szkole zdarzyła się rzecz przykra, kradzież. Dziecko się przysnało, rozmawiałem później z rodzicami. Wszystko wyjaśnione, ale...

— Dobrze, podajcie adres. Odwiedzę tych ludzi. Nie, nie będę chyba kierował sprawą do ukarania. Porozmawiam, powiem jakie grożą konsekwencje, gdyby się to kiedy powtórzyło. Chyba wiemy, że lepsze są środki wychowawcze.

Stary pedagog wpatruje się chwilę w pochylonego nad notesem milicjanta i po chwili namysłu konkluduje cicho:

— To prawda, o — wielka prawda...

IV.

Urszula, jak zwykle — spotkała się z Florianem na narożniku. Szli brzegiem szosy, przystuli do siebie, dzieląc się wrażeniami dnia, omawiając tysiączne, tak ważne dla zakonanych sprawy. Tu i owdzie oświetlone okno mijanego domu rzuciło jasne refleksy na drogę. Wkrótce jednak zabudowania skończyły się i ogarnęła ich ciemność. Szli wolno, ku migającym w oddali ognikom osiedla. Wtem dziewczyna mocniej ścisnęła ramię towarzysza.

— Florek, wydaje mi się, że ktoś za nami się skrada — szepnęła. Chwilę nastuchiwali. Wokół panowała nieczyni nie zmacona cisza.

— Przeczulona jesteś, zdawało ci się — rzekł młodzieniec i znów ruszyli. Ale nie uszli daleko, gdy z obu stron doszłusowało trzech osobników, od których mocno zalatywało alkoholem i brzydkiem słowem. Akcja potoczyła się teraz w błyskawicznym tempie. Towarzysz Urszuli został ogłuszony niespodzianym uderzeniem, zaraz zaś potem napastnicy obezwładnili ją samą.

Przez głowę dziewczyny przeleciały rozpaczliwe myśli. Dusili ją odor wypitego alkoholu, buchający z ust chuliganów. Czuli, że siły jej słabną. W czasie samotności poznała dwóch opryszków po głosie: oczywiście, Sledzikowski i Kassner. Brutalne uderzenie powaliło Urszulę na ziemię. Runęły na nią ciężkie ciała napastujących. Zrozumiała, że tu nie chodzi o pobicie. Z ust jej wydobył się rozpaczliwy krzyk...

*

W jednym z pokoiów X Komisariatu Milicji sierżant Paczkowski bębnił nerwowo palca-

mi o blat biurka. Już powinni tu być, wezwania otrzymali. Jeżeli się nie zjawia, działac wypadnie energiczniejszymi środkami. Raz jeszcze przebiegł oczyma krótkie pismo sprzed paru dni, w którym rodzice pewnej dziewczyny zwracali się z prośbą o przykłądne ukaranie chuliganów — Sledzikowskiego, Kassnera i Guci, za próbę dokonania gwałtu.

— Mieli, łobuzy, szczęście, że akurat nie byłem w obchodzie — pomyślał. Przygotowywał właśnie formularze do zeznań, gdy zapukano i na wezwanie: — wejść! wsunął się do pokoju osobnik, w którym Paczkowski natychmiast rozpoznał niechlubnie zapisanego w życiu Krzyżownik Sledzikowskiego.

Zaczęło się żmudne wypytanie. Najpierw — personalia. W pół godziny potem na tym samym krześle, które zajmował przed chwilą przewodnik napastniczej grupy, zasiadł drugi jej członek — Kassner. Po dalszych trzydziestu minutach starszy sierżant Paczkowski miał za sobą również przesłuchanie Guci. Ciekawe: jeden ZMP-owiec, drugi frezer z ZI-SPO, trzeci tokarz z ZNTK. Przysnał się, że pili tego dnia wódkę, a potem jeszcze wino, w które zaopatrzyli się w peryferyjnym sklepie. Napadli na Urszulę... Eeee, zaraz tam napadli. Zartowali. Że co? Przewrócili ją? No, w tym zamieszaniu, ciemno było, mogła się

stać nie mógł. Coś przecież da się zrobić... Żeby tylko człowiekowi na wszystkich czasach starczyło! Spraw jest tyle, ile w rejonie ludzi.

Zaraz gdy wrócił do Poznania po pięcioletnim oddelegowaniu na posterunek w Krakowskie, przydzielono mu w Komisariacie X ten rejon odległy, sięgający Jeziora Kierskiego. Niełatwo tu teren. Zabudowania to gęste, to rzadkie całkiem, chłopskie zagrody pomieszane z podmiejskimi ogrodami; rozpadliny, nieużytki, spore zagajniki. Ludzie też nie są różni: nie bardzo zamiatowani w porządku, trochę nieufni. Aha, trzeba by wstąpić na Trzebiatowską, sprawdzić, czy spokojnie. Niedawno przecież była tam pijacka awantura, nie obyło się bez pogotowia.

Jutro wypadnie mu dyżurność, następnego dnia — południowy. Paczkowski przyspieszył kroku. Opadająca mgła zrosiła mu twarz, munda, kaburę. Nagle przyszedł mu na myśl takie dnie wypełnione dżdem i strzałami podczas pełnienia ciężkiej służby w Krakowskim. Tam w odważnym trudzie dorobił się szarzy starszego sierżanta.

Dobrze, że to już za nim. Nie jest już taki młody — czwarty krzyżyk leci, Janka też tęskniła do spokojniejszego życia. Wspomniał z rozrzuśnieniem żonę: dwanaście dni temu urodziła



Rys. L. Kapeczyński

przewrócić. Czy ściągali z niej odzież... Może i tak, ale to nie ja, to on. To nie on, to tamten, to ten trzeci. A w ogóle, rozumiecie, obywały sierżancie, że tego... było się pod muchą. W takim stanie człowiek przecież nie odpowiada za swoje czyny.

Nie odpowiada? Coś nadto przytomnie i celowo działała chuligańska trójka. Sierżant Paczkowski po raz ostatni przeglądał podpisaną protokoły zeznań, zebrane informacje i pokrywa arkusz liniowego papieru zamazany pismem:

— Do Prokuratury Powiatowej w Poznaniu...

V.

Dzisiejszy dzień zapowiadał się dzielnicowemu Paczkowskiemu spokojnie. Chłodnym, październikowym rankiem wyskoczył z trolejbusu na końcowym przystanku w Smochowicach i ruszył swym potężnym krokiem w kierunku ulicy Słupskiej. Raz po raz odpowiadał na czyjeś pozdrowienia przyłożeniem palcy do daszka, a zaklął w duchu. Brnął szybko potem szedł już dalej samotnie. Jakże ma na dziś zadania? Właśnie nie takiego. Ot, jeden z tych nielicznych, „normalnych” dni, kiedy odbywa się po prostu obchód rejonu. Naturalnie, ma pewien określony plan. Najpierw odwiedzić kierownika szkoły, aby spytać o sprawę nowego. Potem wypadnie przejść Lemborską i zawiadzić o zagrodę Macznego, który jest przewodniczącym jednego z komitetów Frontu Narodowego w Krzyżownikach. Trzeba porozmawiać z nim o tym i o innym, zwłaszcza o przebiegu obowiązkowych dostaw w osiedlu. Na Słupskiej pod dwudziestym dziewiętnym mieszka blokowy Szlaps. I z nim wypadnie zamienić słów parę. Głównie idzie Paczkowskiemu o sprawę lampki z numerami, jakie mieli pozakładać właściciele domów. Nie wszyscy dopełnili tego obowiązku.

A potem...? Należałoby wstąpić do tej niewiasty, zawsze nazwisko wylatuje mu z pamięci, co to jej syn roboty do-

mu córeczka. Będą teraz mieli parkę, Leszek kończy czwarty roczek... Na twarz sierżanta wypływa ledwie dostrzegalny uśmiech, ustępując w chwilę potem miejsca marsowi. Przypomniał się Paczkowskiemu, że wczoraj ostrzegł o jeden znajomek, aby trochę uważał na siebie.

— Tfy! — splunął. I pomyślał zaraz, że chyba tych, którym jest niewygodny — nie ma w rejonie wielu; że chyba większość maleńkiego, krzyżownickiego społeczeństwa zadowolona jest z tego, że co dnia przemierza ulice, dbając o spokoj i ludzkie mienie.

VI.

Ostatni trolejbus uciekł mu sprzed nosa i musiał całą drogę od pętli tramwajowej na Jeziorach do Krzyżownik odbyć piechotą. Dopoki szedł szosą, było jakoś różnie. Ale teraz, na Leśnowolskiej, pełnej krzaków i zapuszczonych ogrodów — kierownik Pielin poczuł się trochę nieswojo. — Diabli na dali takie długie narały! — zaklął w duchu. Brnął szybko naprzód, o ile pozwalały mu na to ciemności.

Przez chwilę wydawało mu się, że wzdłuż ogrodzenia skrada się trzy postacie. Może go wzrok mylił, a może nie, ale przysiągłby, że gdy się zbliżył — cienie zapadły w zarośla. — Spieszyj, jak tylko mógł, kroku. Miał jeszcze w pamięci wydarzenia poprzednich lat, kiedy w Krzyżownikach nie do rzadkości należały napady nożownicze. Teraz wprawdzie znacznie spokojniej, zwłaszcza odkąd Matuszewskiego osadzono w areszcie, ale zawsze jednak...

Urwał myśl. Zza parkanu wysunęła się zupełnie wyraźna — czysta sylwetka. Na wszelki wypadek starał się ją ominiąć szerokim łukiem. Wtedy w ręku nieznanego zabłysła latarka, z której snop światła lekko musnął Pielina. I zaraz rozległ się spokojny głos:

— Nie trzeba się bać, kierownika. To ja, Paczkowski...

PIOTR ŻYCKI

Poznańska plastyka w salonach warszawskich

Miłośnikom sztuki w naszym mieście wiadomo, że mamy w Poznaniu poważny, twórczy ośrodek plastyczny — grupę młodych malarzy i rzeźbiarzy, którzy stanowią już pozycję na tle młodzieżowej twórczości artystycznej nie tylko w skali ogólnopolskiej.

Z okazji V Festiwalu odbywała się w Warszawie w „Zachęcie” Międzynarodowa Wystawa Młodej Plastyki skupiająca prace artystów różnych krajów. Otóż zdobywcą (jednej z kilku) i nagrody w dziale rzeźby był poznański artysta Józef Stasiński. Otrzymał ją za piękne medale, które już zdobyły sobie zasłużoną opinię w polskiej krytyce.

Wielu spośród młodych twórców poznańskiego ośrodka reprezentowanych było również na Ogólnopolskiej Wystawie Młodej Plastyki w warszawskim „Arsenale”. Wykazali oni wysoki poziom oraz zainteresowania tak formalne, jak treściowe równoległe do zainteresowań artystów z Warszawy, Wrocławia czy Sopotu. Choć tu o wrażliwość na kluczowe zagadnienia walki o pokój (wystawa odbywała się pod hasłem: „Przeciw wojnie, przeciw faszyzmowi”), a także wyczuć dla tematów „codziennych”. Na równi z innymi malarzami poznańscy odrzucili balast przestarzałych kierunków formalnych — fotograficznego naturalizmu i postimpresjonizmu, który zagubia realność kształtów na rzecz kolorystycznych mgiełek.

Wydaje się, że najmocniejszą stroną „naszych” na wystawie w Arsenale jest rzeźba. Bardzo dobre są prace Józefa Kaliszana: „Pomóżcie mu”, czy śliczna dziewczęca główka „Wiesława”, pełna wdzięku, o miękko modelowanych rysach. Józef Stasiński reprezentowany jest

Proszek na myślenie

Tak można by nazwać biało, jakie otrzymali poznańscy chemicy z roślin. Związek ten zwany w języku chemików „glutaminianem sodu” jest doskonałym środkiem leczniczym podawanym przy niedorozwoju umysłowym. Co więcej, ten biały proszek, nie wykazujący ani smaku, ani zapachu, jest wspaniałym katalizatorem smaku. Szczypta dodanego do potraw „ducha smaku” — co odkryli naukowcy japońscy dość dawno — podnosi ich jakość o całe niebo. Nie wierzyć? Już wkrótce sami się przekonacie. Przemysłowa produkcja glutaminianu sodowego, jaka rozpocznie się w tym roku, przyczyni się do podniesienia smaku naszego pożywienia.

Pierwsza poznańska papiernia

powstała w 1531 roku na Zawadach. Była ona wówczas trzecią z kolei papiernią w Polsce, za Gdańskiem (1473) i Krakowem (1491).

Wszechstronny rozwój Poznania w XVI w. stworzył korzystne warunki rozwoju miejscowego papiernictwa. Wówczas też osiedla się w Czerwaku pod Poznaniem niejaki Michał Eldsner, który uruchamiając młyn — papiernię — poważnie przyczynił się do rozwoju poznańskiego papiernictwa i częściowego, niezależnego od papieru importowanego, szczególnie niemieckiego.

Urszula Czartoryska

przez podobne do wystawionych w Zachęcie „niemedalowe” medale (martwa natura) o fakturze chropawej, prawie impresjonistycznej. Niektóre z nich projektowane były wspólnie ze Zbigniewem Kają. Stasiński wystawił również wzruszającą wdziękiem i bezbronią głowę dziecięcą „Ochron mnie”. Za pracę tę, jak już donosiliśmy, otrzymał artysta nagrodę. Stasiński i Kaliszana porzucili powszechny u nas pseudokubistyczny brutalizm oraz naturalizm, dzięki czemu wystawione tu ich portrety mają tyle uroku, nieuchwytności.

W dziale malarstwa olejnego i grafiki pod etykietą „Poznań” wystawili również swe prace utalentowani młodzi artyści z Zielonej Góry, których zasługi nie całkiem słusznie przypisywane są naszemu ośrodkowi.

Za jedną z najlepszych prac na Wystawie uznano „Portret kobiety w czerwonym fotelu” poznaniaka Andrzeja Matuszewskiego. Tak tu jak i w „Krajobrazie z okna” przy prostej kompozycji i ogólnym, syntetycznym rysunku artysta ten trafnie zestawia nieliczne piękne, złamane kolory i nadaje całości charakterystyczny nastrój kontemplacji.

Edmund Łubowski w „Martwej naturze z chlebem” zestawiał przedmioty codziennego użytku w mądre, syntetycznie zbudowaną kompozycję. Stanisław Mrowiński wydaje się mieć inklinację do przedstawiania niewesołych motywów, którym jeszcze nadaje wyraz smutku przez odzieranie ich z przyrodzonego ciepła i barwności. Z dwu jego prac na uwagę zasługują niewielki „Krajobraz z Kielecczyzny”, smutny pejzaż wyjątkowy przez su-

Wywodzący się z tych samych pasji, co wstrząsające płótna niektórych warszawiaków, obraz Bartłomieja Kurki „An Lungenentzündung gestorben” robi jedynie niemiłe wrażenie. Trzy sylwetki więźniów — wisielców — o rysach niezindywidualizowanych, w przypadkowym układzie zawieszonych w próżni, na zielonkawym tle, to niestety nie obraz, który by nawoływał do walki przeciw faszyzmowi. A takie

było przecież ambitne zamierzenie autora.

Niektóre prace młodych artystów poznańskich i zielonogórskich nie miały charakteru eksperymentów, za jakimi z różnym powodzeniem gonili warszawiacy. Ale to przecież one na równi z wieloma innymi obrazami zdecydowały o dobrym poziomie wystawy. Mam na myśli barwną i kulturalną „Martwą naturę” Drogomira Krajewskiej, nastrojową a prostą „Dolną Wildę” Zenona Kaczmarekiewicza, kolorowe „Studium portretowe” Mariana Szpakowskiego, a także obrazy Zaborowskiego, Nowickiego i Rutkowskiego.

W grafice — czarno-białej technice szczególnie wyrazistej i ekspresyjnej — doskonale wypowiedział się zdolny artysta zielonogórski Klemens Felchnerowski. W sposób skrótowy wypowiada on okrucieństwo hitlerizmu, deformując realne kształty przedmiotów. W drzeworycie „Nigdy więcej” ekspresję dziwaczności ptaka (symbolizującego faszyzm) i głowy cierpiącego człowieka podkreślają postrzępione kontury i kontrast bieli i czerni. W cyklu „Kobieta” o tematach lirycznych Felchnerowski posługuje się słuszną miłą techniką monotypii.

Ogólniejszą jeszcze metaforą posługuje się Ryszard Skupin. „Faszyzm groźbą wojny” symbolizują ogromne bomby zatknięte w ziemię w wymarłym krajobrazie.

Pogodniejsze, codzienne tematy poruszają: Andrzej Kaniziora („Wesołe miasteczko w Poznaniu”), Eugeniusz Rosik (u którego znać tradycje polskiego drzeworytu z okresu międzywojennego) oraz Zbigniew Kaja.

Odmienną pozycję zajmują rysunki tuszem Andrzeja Matuszewskiego. Ciągnięte grubą linią „Kwiaty” układają się w piękne, rytmiczne spłoty.

Wydaje się, że młodzi malarze, rzeźbiarze i graficy poznańscy, osiągnąwszy poważną pozycję na arenie ogólnopolskiej, mogą oczekiwać w swoim własnym środowisku na zasłużone uznanie i pomoc. Są bowiem na drodze walki o nową sztukę, nowoczesną w formie, która wypowiedzieć ma jak najbardziej wyraziście i pięknie nową, humanistyczną treść, której służą swoją twórczością.

Ze starvch szpargałów

Wprowadzenie zakonu reformatorów napotkało na gwałtowny opór ze strony bernardynów. Gdy tylko w r. 1622 pojawili się reformaci w Poznaniu, poczęli bernardyni publicznie rozgłaszać, że to totry, niepoenie, włóczęgi w ubiorze zakonnym. Zebrawszy wielką zgraję zbrojnych pacholców otoczyli dom, w którym zatrzymali się reformaci — domagając się, aby opuścili miasto.

Powstał nieopisany hałas i zbiegowisko. Szalejący stronnicy bernardynów rzucili się na jednego z ojców i nałożyli mu kajdanki. Napiecie wzrastało z chwili na chwilę.

Reformator skoczył na pomoc ich protektor, Adam Przyjemski i, gdy bernardyni odmówili wydania więźnia, rzucił się na przeciwników, odbił jeńca i zmusił wroga do wycofania się w

GORĄCA KREW O. O. BERNARDYNÓW

mury swego klasztoru. Wzburzenie umysłów, stale podsypane, długo jeszcze trwało w całym mieście.

Wtem jak grom z jasnego nieba spadła na bernardynów wieść, że reformaci, ich groźni konkurenci, osiedlają się w Osiecznej. Postanowili więc, choćby przemocą, temu przeszkodzić: reformatorów pojmać i wtroczyć do więzienia. W tym celu dziełcu bernardynów rzucili habity i przebraлись się w ubrania świeckie ruszyli pod Osiecznę.

Usadowili się w pobliżu miasta na terenie swej protektorki — Leszczyńskiej, pilnie obserwowali „wojenne” ruchy reformatorów. Przekonawszy się, że „wrogów zakon” szuka terenu pod przyszłą siedzibę, postanowili „włóczęgów” w habcie zakonnym — przemocą pochwycić i wywieźć.

Tymczasem zapomnieli o Tymczasem, który postanowił dać nauczkę „rycerzom bernardynskim”. Zwołował on w tym celu okoliczną szlachtę, która stawiła się w liczbie około 200 na zamku, przedstawił jej sprawę i wezwał do obrony reformatorów.

Szlachcie w to graj. Zarekwirowano wszystkie konie w mieście i w pewnym momencie silne oddziały wpadły na obozy bernardynów. Część z nich szczęśliwie uciekła do Leszna, część padła ku Krzywiniowi, bronią nie żałowano ani przyni, ani batów. Niektórzy z nich do śmierci nosili ślady niefortunnego wyprawy przeciw konkurentom.

Odtąd zapanował spokój, a wielebnym w habcie nie odważali się udawać rycarzy. (S)

NOWOŚCI

motoryzacyjne i radiotechniczne

PRODUKCJA TRANZYSTORÓW W POLSCE

Tranzystor — to groźny konkurent dla lampki radiowej. Zbudowany podobnie, jak „kryształek” do aparatu detektorowego. Tranzystor jest znacznie prostszym, tańszym i praktyczniejszym urządzeniem niż lampka radiowa. Jednakże tylko pod warunkiem, iż posiada się do jego wyrobu potrzebny surowiec. Jest nim przede wszystkim metal german, będący półprzewodnikiem. Polscy uczeni i technicy wykryli w kraju kopalnię germanu w — sadzach i pyłach odlotowych kominów i palenisk przemysłowych. Z tonny sadzy można wydobyć około 1 kilogram cennego metalu germanu.

KAROSERIA Z PLASTYKU

Swego rodzaju sensacją techniczną na jesiennych Targach Lipskich był mały samochód z karoserią wykonaną z plastiku. Dotychczas wyciskano ją powszechnie z blachy stalowej. Tymczasem karoseria z plastiku okazała się równie wytrzymała, jak stalowa, a poza tym jest lżejsza i tańsza. Różnica na ciężarze wynosi 45 kilogramów, co zarówno ze względu na oszczędność stali jak i na ciężar niewielkiego wozu przedstawia poważną korzyść. Na próbie dach karoserii plastikowej obciążano przez ustawienie na niej pięciu dorosłych ludzi. Materiał ugiął się, lecz po usunięciu obciążenia wracał natychmiast do normalnego kształtu.

MOTOCYKL CZY SAMOCHÓD?

Niedawno w sądzie angielskim odbyła się rozprawa, gdzie kierowcę oryginalnego pojazdu na trzech kołach, o dwu siedzeniach obok siebie, całkowicie okrytego karoserią skazano za kierowanie samochodem bez prawa jazdy na karę pieniężną. Ostatecznie wygrał kierowca, gdyż fachowcy orzekli, że pojazd ma budowę motocykla. Aby sprawdzić, czy tak jest, zadość, nazwano go „trycyklem”. Mowa jest o niemieckim wyrobie firmy Messerschmidt.

SAMOCHÓD TURBINOWY

We Włoszech zbudowano samochód o napędzie turbino-gazowym. Osiąga się nim prędkość około 325 kilometrów na godzinę. Wirnik turbiny gazowej, pracujący w temperaturze około 800 stopni, wykonuje w minucie 22 tysiące obrotów, posiadając moc 220 koni mechanicznych. Zarówno wysoka temperatura, jak i olbrzymia liczba obrotów świadczą o tym, że nowoczesna technika

niekiedy już pokonywać trudności, o których nie marzyło się konstruktorom przedwojennym.

MIKROFON W OŁÓWKU KIESZONKOWYM

Na ostatniej konferencji atomowej w Genewie każdy uczestnik otrzymywał niewielki aparat radiowy do zawieszenia na szyi, ze słuchawkami. Aparat można było „nastroić” przez przekręcenie guzika na dowolny język, w jakim słuchacz chciał usłyszeć obrady. Gość z aparacikiem i ze słuchawkami na uszach nie był skrupowany w ruchach, mogąc dowolnie krążyć po sali obrad. Referenci, wygłaszający przemówienia, mieli w kieszonce marynarki, zamiast ołówka, podobny do kształtem miniaturowy mikrofon, przekazujący głos aparaturze rozdzielczej. Zamiast przedpotopowej tablicy i kredy, referent pisał na biurku na tabliczce z celuloidu, a treść pisma ukazywała się równocześnie na olbrzymim ekranie.

E. BIAŁOBORSKI



Jean Simons przy zdjęciach próbnych do Ofelii.

Pełna jest cudów...

Z jaką przyjemnością każdy z nas spaceruje po aromatycznym lesie, brodzi po pachnącej łące; każdy z nas przepada za widokiem kwiatów, tak różnych a tak pięknych. Nieraz — w ogrodzie czy nawet w pokoju — pochylamy się nad jakąś szczególnie ładną lub ciekawą rośliną, zachwycamy się nią. Ale czy to wystarczy tylko po dziwiać, zachwycać się? Żyjemy w tak bezpośrednim sąsiedztwie drzew, kwiatów — że powinniśmy jednak coś niecoś o nich wiedzieć. No tak, ale czy po takim samokrytycznym stwierdzeniu ktokolwiek z nas zabierze się do studiowania jakiegoś podręcznika botaniki? Może się i zabierze, ale daleko nie zajdzie; niejednemu wyda się ten podręcznik nudny, przeładowany szczegółami.

ROSLINY PIGMEJE

Ale jeżeli szczęśliwym trafem wpadnie komuś do ręki wydana przez Wiedzę Powszechną książka radzieckiego autora, A. Cingiera, pt. „Zajmująca botanika”, — przetłumaczona przez J. Milenbanda — przeczyta ją na pewno jednym tchem. Jest to rzeczywiście książka bardzo zajmująca. Zajmująca — i dla dorosłych i dla młodzieży. Wiadomości zawarte w tym zbiorze „bezpłatnych, amatorskich pogadanek” — jak nazywa je sam autor — podane są w sposób tak interesujący, tak nie szkolarski, że

potrafią przykuć do siebie nawet najbardziej zatwardziałego w tej dziedzinie laika.

Czytelnik znajdzie w niej wiele ciekawych wiadomości: o roślinach-olbrzymach i o roślinach-pigmejach, tzn. drobnych, mikroscopijnych roślinach, które możemy zobaczyć jedynie „uzbrojonym okiem” — pod mikroskopem, a których jest ogromna różnorodność na ziemi, na wodzie i w wodzie; dowiemy się, jakie rośliny można spotkać w okolicach wysokogórskich, a jakie w chłodnych tundrach. Autor zaznajamia czytelnika z budową i znaczeniem roślin, które znajdziemy w swoim najbliższym otoczeniu — w ogrodzie czy lesie. „Przy okazji”, przytaczając jakieś wspomnienia z dzieciństwa czy jakąś anegdotę, żeby się czytelnik nie zorientował, że go autor — broń Boże — chce czegoś nauczyć, opowiada, co to są kwiaty obupciowe i rozdzielnopciowe, rośliny jednopienne i dwupienne; pokazuje na obrazku leśny, gałązki młodej lipy, wierzy, wilcze lico — no i oczywiście tłumaczy, z czego się składają, jakie są ich właściwości.

NIEPROSZENI GOŚCIE

Szczególnie barwnie napisana jest pogadanka o różach. Jak wiadomo — jest bardzo wiele odmian róż. Autor wymienia ich dużo, wiążąc niemal z każdą z nich jakąś „gadkę” — nie zapominając jednak o tym, by czytelnik równocześnie się czegoś o nich dowiedział. Bardzo ciekawe dane znajdzie czytelnik w pogadance o chwastach, o rozmaitych roślinach nieżyjących, o roślinach trujących — o „nieproszonych gościach” — jak je autor nazywa. W jaki sposób z nimi walczyć, skąd się wzięły — okazuje się, że i na ten temat można wiele zajmujących rzeczy opowiedzieć.

Istnieją na świecie rośliny wyróżniające się szczególnie wielkimi kwiatami. Można je bez trudu znaleźć u nas w stanie dzikim lub w ogrodku, a są i takie, które rosną tylko w odległych, gorących krajach, w klimacie umiarkowanym zaś mogą żyć wyłącznie pod szklarnią dachem oranżerii. A więc — lilie wodne, znana z tęsknych

tang — victoria regia, a więc — kwiaty niektórych dyni, słonecznik, rosnący na Sumatrze rafflesja. O wszystkich tych kwiatkach autor opowiada żywo, barwnie, zawsze dodając jakiś szczegół ze swego życia, wspomnienie, w którym ten kwiat odegrał jakąś rolę.

ROSLINNE EKSTRAWAGANCJE

Wszystkim wiadomo, że istnieją pewne organiczne odchYLENIA od normalnego typu u ludzi, u zwierząt, ale żeby i w świecie roślin... Okazuje się, że i tam coś takiego zachodzi i że są to nawet zjawiska wcale nie rzadkie. O najrozmaitszych „potworach”, „wybrykach natury” dowiemy się z książki Cingiera. Okazuje się, że spotykamy nienormalny bez, nienormalny koniczynę, nienormalny skrzydłak klonu, nienormalne szyszki, orzechy włoskie itd. itd.

Rewelacja dla czytelnika będzie wiadomość, że można wyhodować... dwupiętrowe drzewa. Na pierwszym — mandarynki, na drugim — cytryny. Wiele jeszcze „osobliwości botanicznych” przytacza autor — wszystkie bardzo interesujące, zaskakujące czytelnika swoją niezwykłością, pobudzające go do głębszego zastanowienia się nad sprawami życia przyrody.

Tę właściwość ma cała książka Cingiera. Ona nie tylko uczy, informuje, ale budzi jakieś głębsze refleksje, wywołuje ciekawość, uczucia dla całości świata przyrodniczego, zachęca do samodzielnej obserwacji.

ST. O.

* A. Cyngier, Zajmująca botanika, Wiedza Powszechna, Warszawa, 1955 r., stron 220, cena 8.50.

JOD W POLSKICH SOLANKACH

Jod, którego alkoholowy roztwór zwany jodyną znają niemal wszyscy, był do niedawna u nas surowcem importowanym. Od przeszło 100 lat otrzymywano jod z wodorostów morskich. Polscy uczeni opracowali ostatnio nowy sposób wydobycia tego pierwiastka z rodzimych zasobów surowców. Jododajnym surowcem okazały się złoża solanek, odkryte w pełudniowych województwach Polski. W ten sposób dzięki odkryciom naszych geologów i pracy chemików produkować będziemy w najbliższym czasie lekarstwa, niektóre barwki i katalizatory w oparciu o własną bazę surowcową.

LOKOMOTYWA MOTOROWA O MOCY 4000 KONI

Na doświadczalnym odcinku w Butowie pod Moskwą rozpoczęły się próby eksperymentalnej lokomotywy motorowej TE3 o mocy 4000 koni mechanicznych, to jest dwukrotnie większej niż moc produkowanych obecnie seryjnych lokomotyw TE2.

Nowa lokomotywa może prowadzić pociąg towarowy z szybkością do 100 kilometrów na godzinę. Trzeba dodać, że nowa lokomotywa zużywa mniej paliwa niż silnik lokomotywy TE2.

Julian Mikołajczak

SZEŚĆDZIESIĄT LAT najmłodszej muzy

CHARLIE CHAPLIN
i początki
wielkiej
sztuki filmowej

W artykule z okazji mijającej w tym roku 60 rocznicy kinematografii omówiliśmy powstanie kinematografii i jej pierwsze kroki. Obecnie zatrzymamy się nad fenomenem jakim jest w kinematografii Charlie Chaplin. Powiedziano już nieraz, że sztuka filmowa jest sztuką najbardziej złożoną. Realizator filmowy winien nie tylko być w pewnym stopniu aktorem, malarzem, muzykiem, scenarzystą, scenografem, ale tym wszystkim naraz. Możemy śmiało zaryzykować twierdzenie, że całokształt udanego filmu nie zrobiłby aktora, malarza, muzyka, scenarzysty, scenografa, ale tylko w znacznym stopniu nie opanował wszystkich innych sztuk o setki lub tysiące lat wyprzedzających kinematografię.

Czy dużo było, względnie jest takich artystów w historii kinematografii? Bardzo nie wielu. Jak dotychczas jeden tylko Charlie Chaplin łączy w sobie nie tylko zasób wiadomości, ale i indywidualny, wielki talent we wszystkich dziedzinach sztuki.

Spójrzmy na jego dzieła! Chaplin niemal od pierwszych swych filmów pisze scenariusze; w drugiej, słynnej serii stwarza postaci, którą jak dotychczas zmienia tylko do trzech dzieł („Dyktator”, „Pan Verdoux” i „Światła rampy”), do wszystkich swych filmów — także w okresie niemym — pisze muzykę i rysuje dekoracje! W wielu swych filmach tańczy, a w „Dzisiejszych czasach” tańczy i śpiewa (słynną wówczas piosenkę „Titina”, złożoną zresztą w jego interpretacji z nie istniejących w żadnym języku słów). Chaplin jest oczywiście realizatorem wszystkich swych filmów i nawet realizatorem bez swego udziału w roli aktora („Opinia publiczna”). Wszystko, co nam ukazuje w filmie, jest genialne, nawet jego omyłki (film „Pan Verdoux”) są omyłkami w skali geniusza, tak jak Leonardo da Vinci mylił się, sądząc, że znał sposób utrwalenia „na

wieczne czasy” swej „Ostatniej Wieczery”.

Specyficzne warunki, jakie panowały w pierwszych latach kinematografii amerykańskiej: olbrzymie kapitały, pogoń za opłytami, walka konkurencyjna powstających cernów sprzyjały w znacznej mierze pierwszym krokom Chaplina. Skoro jednak te pierwsze kroki powiodły się, Chaplin zerwał z ostatnimi filmami komercyjnymi i poświęcił się wyłącznie pracy nad swymi wielkimi dziełami, które — wszystkie — weszły do skarbcza kinematografii. Na szczęście bogate filmoteki zagraniczne posiadają kopie tych arcydzieł.

Oto lista najważniejszych filmów Chaplina. Filmy te mają nadzieję ujrzeć na jakimś chaplinowskim festiwalu, dawno należącego się genialnemu realizatorowi, którego zawiść i głupota Hollywood wygnała poza granicę Ameryki: 1918 „Psie życie”, 1919 „Wielka idylla”, 1920 „Brzdąc”, 1922 „Piegrzym”, 1923 „Opinia publiczna”, 1924 „Gorączka złota”, 1927 „Cyrk”, 1931 „Światła wielkiego miasta”, 1934 „Dzisiejsze czasy” i następnie wymienione już filmy.

Jedną z najbardziej charakterystycznych cech talentu Chaplina jest trwałość jego dzieł. Udźwiękowione niedawno najstarsze jego filmy ogląda się dzisiaj z tym samym zachwytem i satysfakcją jak przed laty, a „Gorączka złota” pobili dwa lata temu rekordy frekwencji w Paryżu.

W latach, w których Chaplin stawiał swe pierwsze kroki, kinematografii amerykańskiej nie brakowało talentów, wśród których na pierwszym miejscu wymienić trzeba Griffitha, Ince’a, Stroheima, de Mille’a i innych. Niestety wraz z rozwojem sztuki filmowej i powstawaniem dzieł ze wszech miar godnych uwagi — rosły apetyty amerykańskich potentatów filmowych, zmierzających do opanowania całego świata.

Lata powojenne były okresem utrwalania się koncernów filmowych, jak „Paramount”, „Loew Inc.”, „Universal” i innych, które do dzisiaj narzucają Stanom Zjednoczonym zwroty, amerykański „styl filmowy”. Proceder powstawania filmu jest tam doprowadzony do technicznej — organizacyjnej perfekcji. Jednakże perfekcja ta służy celom wyłącznie negatywnym, a ostatnio wręcz wrogim ludzkości. W dawnym Hollywood panowało wyłącznie prawo kasy. Jeśli jakiś film odniósł powodzenie — powstawało 100 filmów na ten sam lub podobny temat. Obecnie to prawo zaczyna ustępować racjom „politycznym”. Mimo zdecydowanego niepowodzenia finansowego filmów wymierzonych przeciw postępowi — powstaje ich coraz więcej, a producenci oświadczenia: „Wolimy dokładać do interesu, aby na czas ostrzec nasz naród przed niebezpieczeństwem”.

O całą epokę oddaliliśmy się od czasu, gdy Griffith kręcił „Nietolerancję”, występując przeciw przesadom, stronnictwom rozprawom sądowym, masakrom, donosicielstwu. Dziś donosicielstwo można wylać na sztandarach Hollywood — o ile miasto to w ogóle może jeszcze pretendować do sztandaru.

Europa wszystkimi sposobami broniła się przed zalewem amerykańskim. Francja przeciwstawiała Ameryce „szkołę psychologiczną”. Włochy filmy o potężnej wystawie, Szwecja surowy, północny realizm, Niemcy impresjonizm, który przez pewien czas wywierał znaczny wpływ na kinematografię.

Jednakże wszystkie te kinematografie nie były nigdy oparte na tak silnych organizacjach finansowych jak wytwórnie amerykańskie, zdolne do przetrwania z rezerw najgorszych kryzysów i do kontrataku w wybranej przez siebie chwili. Taki kontratak nastąpił w 1929 roku przez wywalenie dźwięku, który zresztą niebawem obrócił się przeciw filmom USA. Ale o tym innym razem.

L. BUKOWIECKI



WŁASCIWE UZUPEŁNIENIE...

Przed kilku tygodniami zebrała się w jednym z najwytworniejszych hoteli chicagowskich „Śmietanka” finansjery amerykańskiej na dorocznym tradycyjnym bankiecie. Gdy dolarowa sosjeta ucztowała w najlepsze, spoza lekko uchylonego okna doszło dziwne fukanie, a po chwili w sali rozniósł się wielce nieprzyjemny zapach. Bankietnicy porzucili homary, szampan i kawior, uciekali w popłochu z hotelu. Natychmiast zaalarmowano policję i straż ogniową. Niebawem jeden z dzielnych strażaków znalazł za drewnianą boazerią ukryte zwierzątko — tchórz. Policja doszła do przekonania, że pewien dowcipniś spłatał widocznego bankierowi głupiego figla.

A może żartowniś przypuszczał, że zwierzątko owe nadaje się właśnie do takiego towarzystwa.

ZNAMIENNA POMYLKA

Pewien malarz paryski domaga się od jednego z pism 5 milionów franków odszkodowania, ponieważ reprodukcją kilku jego obrazów, umieszczając pod nimi napis: „Dziela umysłowo chorego”. W rzeczywistości fotograf redakcyjny zamiast dokonać na wystawie zdjęć obrazów pewnego umysłowo chorego pomy-

lił się i dokonał zdjęć z wystawy sąsiedniej, która zawierała kafejki płócien wspomnianego malarza. A redakcja, jak się to niekiedy zdarza, nie poznała się na obrazach i strześliła gafe.

MARSZAŁKOWSKIE ZWIDY...

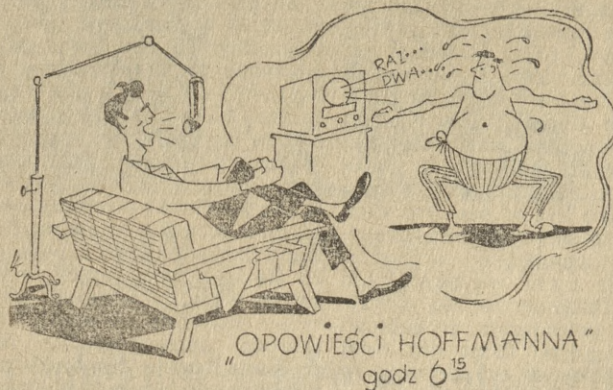
Brytyjski marszałek lotnictwa lord Dowding oświadczył niedawno, że on osobiście wiele latające talerze. Jednocześnie dodał: „Pozaziemskie wehikuły nie prędzej wylądują na ziemi, dopóki ludzie nie nauczą się lepszych manier”. W dalszym ciągu swego oświadczenia Dowding zapropomował zorganizowanie ekspedycji celem podporządkowania sobie owych dziwnych astronautów. W końcu przyznał się, że do tej pory nie widział jeszcze ani jednego latającego talerza. Dowding oprócz pełnienia wielce poważnych funkcji w lotnictwie Jej Królewskiej Mości należy również do towarzystwa spirytystów angielskich, co nam wiele tłumaczy.

ALARM PRZY TALERZU

Mr. Kelley, obywatel amerykańskiego stanu Texas jest prezesem „Stowarzyszenia grubych” (wazy dwa i pół centnara). Ostatnio zgłosił on do urzędu patentowego projekt pasa z elastycznej gumy nylonowej zaopatrzonego w wewnętrzne kontakty elektryczne. W wypadku, gdy ktoś zje ponad swoją normę, wówczas ciągły pas włącza automatycznie miniaturową syrenę alarmową, poruszającą za pomocą baterijki kieszonkowej.

425 W POZNANIU W OPERZE

libretto: W. Scisłowski
scenografia: L. Kapczyński



"OPOWIEŚCI HOFFMANNA"
godz 6¹⁵



"HRABINA"
godz 18



"LEGENDA BAŁTYKU"
godz 7



"KRAJNA USMIECHU"
godz 9



"CAVALERIA RUSTICANA"
godz 24

Humoreska amerykańska OGŁOSZENIE

Mr. Kelly z trudem przedostał się do metra, potem wyciągnął z kieszeni „Sunday Express”, przeczytał wiadomości polityczne, kronikę kryminalną, sportową i jako przedsiębiorczy handlowiec za głębił się również w rubryce ogłoszeń. Po chwili otworzył szeroko oczy.

„Sierota z wielkim majątkiem szuka kulturalnego pana, który potrafiłby prowadzić jej sprawy handlowe. Małżeństwo niewykluczone.”

Jacy jesteście egoiści — westchnął mr. Kelly. — Żyjemy nieużytecznie — zamiast ogrzać swoją miłością biedną sierotę i troszczyć się o jej majątek.

W domu zaczął pisać ofertę. „Droga, kochałbym cię nawet wtedy, gdybyś sprzedawała zapaki na chicagowskiej ulicy.”

— Głupio — zreflektował się. — Nielogicznie! Nie uwierzy przecież.

Napisał inaczej. „Szanowna Pani! Moje sukcesy handlowe, poparte wielką fabryką destylowania wody są najlepszym zapewnieniem i poleceniem, że potrafię prowadzić Pani majątek (jaki jest wielki???)”.

— Zbyt handlowo. Łatwo się domyślił. Dopiero na osiemnastej kartce papieru skreślił słowa, o których był przekonany, że będą właściwe.

Nie czekał długo na odpowiedź, która go bardzo wzruszyła.

„Szanowny Panie! — pisała nieznaną sierotą. — W wielu ofertach, które otrzymałam, znalazłam tylko tęsknotę do moich pieniędzy. Tylko w pańskim liście znalazłam to, czego szukałam... — Że moje bogactwo jest Panu obojętne, a pan szuka tylko ideału i miłości. Bardzo się cieszę, że między tylu mężczyznami, którzy zabiegają o wzbogacenie się majątkiem dwudziestoletniej dziewczyny, znalazł się szlachetny wyjątek. W sobotę wieczorem będę w łóży nr 3 w teatrze „Ontario”. Proszę

przyjść w klapie jako znak rozpoznawczy goździk. Proszę mnie odwiedzić podczas przerwy.

Mary Smith.”

— Ile też ma? Milion dolarów, pół miliona? W nocy śnił o przepysznych jachtach i willi w Long Beach.

Następnego dnia kupił bilet do teatru „Ontario”, lecz na przedstawienie zjawił się z małym opóźnieniem. Kurtyna była już podniesiona do góry.

Włodzimierz Scisłowski

Z życia pcheł

Raz na psa chciała wejść ekipa pchła. Więc na start!! Przechodził chart, jamnik, buldog, wilk i seter — lecz to wszystko typy nie te! Wreszcie — hopsa! Na tustego weszły mopsa i zrobiły wielki ruch — wszędzie wlaży — grzbiet i brzuch,

łapy, szyja i pośladki były stołem pchle gromadki. Wspólną pracą ten pchli klan wnet wykonał swój pchli plan! Lecz — jak zawsze tak już bywa —

była jedna pchła leniwa — załamawszy z jękiem dlonie sama wlekła się w ogonie...

Typy takie też znajdziecie niekiedy w pchelek świecie!!

Akcja sztuki — jakiś dramat, nudny i ponury. Ciemność panowała na scenie i na widowni. Mr. Kelly wyteżał wzrok, żeby dojrzeć łożę nr 3. Dareninie. Kurtyna spadła i mr. Kelly ze zdziwieniem rozglądał się dookoła. Widzami byli wyłącznie panowie z goździkami w klapach. Wszyscy mieli spojrzenia zwrócone na łożę nr 3, w której siedział starszy pan. Ten jedyny był bez goździka. Wstał, zatrzasnął drzwi i zniknął w kancelarii teatru, gdzie zabrał się do sumiennego obliczenia:

dolarów
Ogłoszenie w „Sunday Express” 15
znaczkami i naperfumowany papier 134
Razem 149

Wpływ za bilety teatralne 1820
Czysty dochód 1671

— Nie ma nic lepszego nad dobry pomysł — zamruczał pod nosem i wrócił do łoża obserwować grę.

Przełożył Fr. Swar

Odtwarzane z taśmy magneto fonowej

Mecz stulecia

„Halo! Halo! Tutaj mikrofony sprawozdawcze zainstalowane na stadionie sportowym w Montevideo. Za niepełną minutę rozpocznie się mecz piłkarski Polska — Urugwaj. Pogoda wspaniała, niebo bez jednej chmurki. Te oklaski,

które w tej chwili słyszycie, drodzy słuchacze, to na cześć naszej drużyny, która wdzięcznym sprintem wbiega na boisko.

Wspaniale, doskonale się prezentują. Chłop w chłop! Miny dziarskie, w oczach ogień, w nogach niezłomna wola zwycięstwa. Wbiegają również, nieco ospale, Urugwajczyści! Uwaga! Gwizdek. Mecz rozpoczęty. Nasi w ataku, we wspaniałym błyskawicznym ataku. Prawoskrzydłowy strzela. Jeden zero dla Urugwaju.

Patrzmy dalej! Nasi... Nasi, proszę państwa, znowu są pod bramką. Tak, pod swoją bramką. Urugwajczyk bawi się z piłką. Robi to tak jakoś nieporadnie. Strzela! Dwa zero... Prowadzi tymczasem Urugwaj. Pogoda dopisuje w dalszym ciągu. Niebo bez jednej chmurki... Trzy zero.

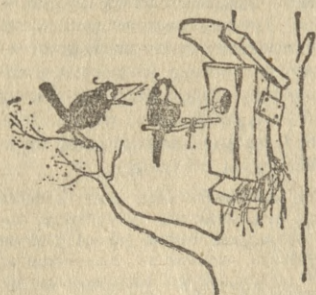
Nasi chłopcy dają z siebie do słownie wszystko... Strzał! Strzał. Nie można powiedzieć, dosyć efektowny. Cztery zero... Ach, wspaniała kombinacja! Nasi prą do przodu. Lewoskrzydłowy podaje piłkę do prawego łącznika, ten centruje. Fantastyczny strzał! Pięć zero dla gospodarzy. Znowu strzał... Szesć zero. Bum! Wspaniały wykop naszego bramkarza. Piłka ląduje na środku boiska. Małe zamieszanie. Lewoskrzydłowy w dalszym ciągu doskonale się prezentuje i wspina się, bojując zagrywać... Siedem zero. Srodkowy napastnik mknie jak wicher... Strzela! Ośiem zero. Gwizdek! Koniec pierwszej połowy meczu.

Do końca meczu pozostało 10 minut. Dotychczas prowadził Urugwaj czterema zero, ale nasza drużyna jest niezłomna. Przed chwilą byliśmy świadkami wspaniałej rozbijalności naszego bramkarza... Piętnaście zero... W honorowej łóży widzimy przedstawicieli miejscowych władz. Szesnaście zero... Niebo w dalszym ciągu bez chmur. Na razie, jak mówili, prowadzi Urugwaj... Warto przypomnieć, że Urugwaj w 1821 roku był hiszpańską kolonią. Osiemnaście zero... Długość linii kolejowych w Urugwaju wynosi... Dziewiętnaście zero... Wynosi 2840 kilometrów... Samodzielność państwową uzyskał Urugwaj w 1828 roku... Dwadzieścia zero... Wpływy kapitalistyczne pozostawiają na tym kraju niezatarte piętno. Gwizdek i koniec meczu...

Niebo bez chmur... Cudny lasur usposabia nas optymistycznie. Z wiary i radością patrzymy w naszą najbliższą piłkarską przyszłość. Na tym kończymy naszą bezpośrednią transmisję z Montevideo.

KRZYSZTOF ZIELNICA

MIĘDZY WĘDROWNYMI PTAKAMI



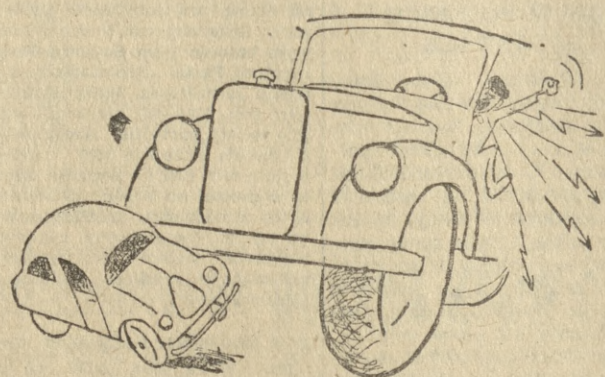
— I do tej okrytej budy ciągnęłeś mnie tysiące kilometrów???

Apetyczne dyskusje

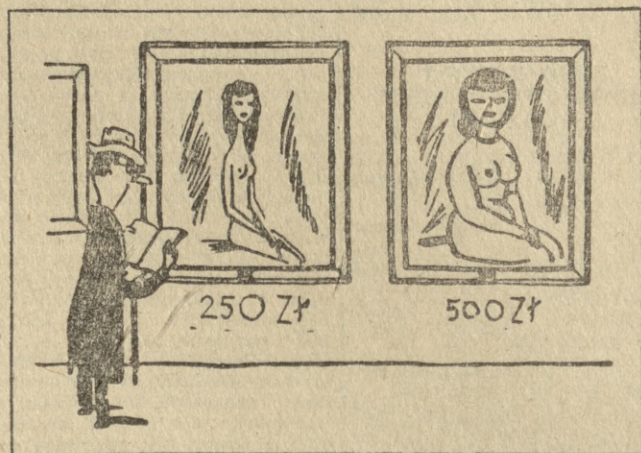
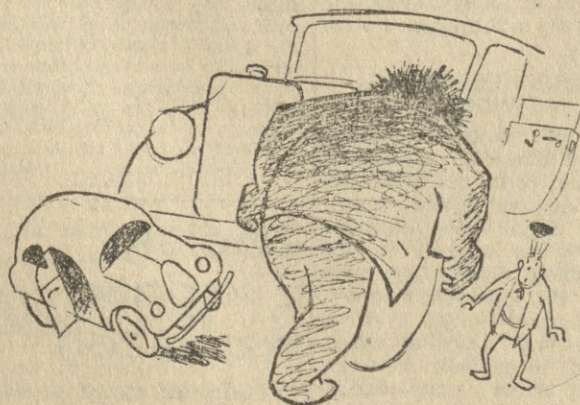
Amerykańska dziennikarka Maxwell, pracująca dla wielkiego koncernu prasowego, zaprosiła na grecki jacht „Achilles” sto osobistości europejskich na czternastodniową przejażdżkę po Morzu Śródziemnym. Z wydanego komunikatu po zakończeniu ej-sie, nie wynika, jakie twórcze „dyskusje” prowadzone były na jachcie. Czyni temu za-dosć w pewnym stopniu wiadomo-sć, że owe znakomitości skonsumowały w tym czasie 750 butelek szampana, 500 bu-telek likieru, 300 butelek Wer-mutu, 2300 paczek papierosów 100 kilo kawiorn oraz 800 kg owoców. Z tego wynika, że wynikiem tej podróży, był wy-lącznie doskonały apetyt.

Fatalny klej

Towarzystwo komunikacyj-ne angielskiego miasta Bri-stol, wprowadzając nowy roz-kład jazdy swoich autobusów rozkleiło w tym celu plakaty. Termin wprowadzenia rozkła-du jazdy musiał jednak zostać odwołany, gdyż użyty do pod-klejania ogłoszeń płyn przy-wabił pszczoły, które wyjadły wonny klej. Na skutek tego wszystkie plakaty odpadły. O-becnie wspomniane towarzy-stwo wywiesiło nowe ogłosze-nia, tym razem jako kleju u-żyto mazi zaprawionej octem i roztworem sody.



Bez słów



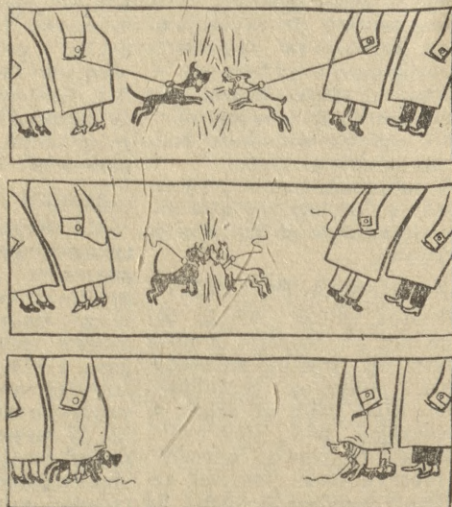
Bez słów

(N. B. J.)



(„Eulenspiegel”)

— Popatrz, popatrz, jaka niedobra para...



(„Eulenspiegel”)

Bez słów